

## Wojciech Stanisławski: Polska wojna zastępcza

„Niemieckie hełmy”, słane i słane do Kijowa, do którego ciągle dotrzeć nie mogą, zyskały już w polskiej paremiologii status równy dwóm mieczom grunwaldzkim – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Wojny zastępcze to nader wygodne, choć oczywiście nader cyniczne narzędzie działania. Uwikłanie przeciwnika w konflikt na jego granicach lub w strefie wpływów – najlepiej jeszcze w konflikt tłący się, nie do wygrania? Pociągający za sobą, prócz ofiar własnych, również koszty, zmęczenie i rozpacz? W sytuacji, gdy naszej stronie pozostaje jedynie dosypywać (w miarę oszczędnie) broni, pieniędzy i wsparcia moralnego grupie rebeliantów? Tak, to wielka wygoda, prawdziwa Wunderwaffe strategów.

Żeby sobie jednak na wojnę zastępczą pozwolić, trzeba mieć zaplecze: rozległe granice, jakieś tereny, gdzie diabeł mówi dobranoc i można działać bez żadnych świadków, gigantyczne zasoby, odpowiednio głęboki wywiad, zdolność wspierania odległej partyzantki w sposób możliwie dyskretny, za pośrednictwem sił trzecich, lub przynajmniej tak, by nikt nie był w stanie złapać nas za rękę. *Proxy wars* mogły więc toczyć Rzym i Sasanidzi, królestwa Francji i Anglii, Amerykanie i Sowieci, ale rzadko Rzeczpospolita. Innymi słowy, wojny zastępcze są dla imperiów, a dla pana, panie Arczku, to co najwyżej awantury w gospodarstwach mołdawskich.

Dziś jednak również kraje średniej wielkości mogą sobie pozwolić na własną *proxy war*, szczególnie przydatną w konfliktach wewnętrznych. Niemal bowiem od początku tegorocznej inwazji moskiewskiej na Ukrainę mamy do czynienia z niewielką, lecz nader angażującą polską wojną zastępczą: wojną niemiecko-węgierską.

*Żeby sobie na wojnę zastępczą  
pozwolić, trzeba mieć  
zaplecze: rozległe granice,  
jakieś tereny, gdzie diabeł  
mówi dobranoc*

To, że same wyżej wspomniane państwa nie są w tę wojnę zbyt zaangażowane, a od największego, naprawdę spektakularnego

starcia żywiołu germańskiego i madziarskiego, czyli batalii nad rzeką Lech, minęło, bagatela, millenium z hakiem, nie ma większego znaczenia. W tej sprawie liczy się przede wszystkim polskie zaangażowanie i polskie pretensje. Wojna toczy się bowiem między Polakami głęboko, często desperacko zaangażowanymi w dramat zaatakowanej Ukrainy i spierającymi się o to, jak jeszcze można by jej pomóc, oraz o to, kto pomaga jej za mało. I nie ma dnia, by na wojnę tą nie posyłano w pole potężnych formacji: honwedów i jegrów, kuruców i Kommando Spezialkräfte. Krótko mówiąc: węgierskich zaniedbań i niemieckich win, cynicznej gry Budapesztu i serwilizmu Berlina.

Felieton ten nie zmieściłby defilady obu potężnych sił zbrojnych, nie ma też być kroniką wypadków dyplomatycznych. Nie miejsce to więc, by przytaczać wszystkie żenujące zachowania obu stolic począwszy od 24 lutego, a i wcześniej. Zresztą, zaangażowani w węgiersko-niemiecką

*proxy war* polscy polemici dbają o to, by żadne z tych posunięć nie umknęło uwadze świata. Wielokrotnie czytaliśmy już zatem o wszystkich fatalnych posunięciach Budapesztu, choć częściej może jeszcze o jego bierności. Sankcjom nałożonym na Rosję długo się sprzeciwiali, a te, co udało się je nałożyć – rozwodnili. Tranzytu broni na Ukrainę zakazali. Sami ani scyzoryka Kijowowi nie dali. Gotowi są za to dać wizę patriarsze Cyryłowi. *Baszd meg!* – jak podsumowują wieczorową porą podobne zachowania w podcieniach dworca Keleti.

Wszystko to prawda, na to jednak druga (polska) strona odpowiada równie okazałym rejestrem win Berlina: począwszy od przysłowiowych już i wielokroć ogranych „niemieckich hełmów”, które w polskiej paremiologii zyskały status równy dwóm mieczom grunwaldzkim, przez zwodzenie, mataczenie i wykręty w kwestii jakichkolwiek dostaw broni ofensywnej na Ukrainę, poprzez historię Nord Stream, poligon w Mulino wzniesiony staraniem koncernu Rheinmetall, kolejne próby obchodzenia lub rozwodnienia sankcji, kolejne listy zatroskanych intelektualistów, aż po najnowsze naciski kanclerza Scholza na odblokowanie – wbrew wcześniejszym ustaleniom Unii – tranzytu do Kaliningradu. Pomysł, by niemiecki polityk wotował za tworzeniem jakiegokolwiek „korytarza”, i to jeszcze w historycznych okolicach Prus Wschodnich, wydaje się pochodzić wprost z repertuaru grupy Monty Pythona, niestety – w odróżnieniu od wyborów uzupełniających w Północnym Minehead dzieje się to naprawdę.

Wymiana ognia w polskiej wojnie węgiersko-niemieckiej ma charakter umiarkowany, pozycyjny, widać, że zwaśnione strony nastawiły się na dłuższy konflikt. Waga pocisków również dobierana jest starannie. Ktoś napisze coś o burmistrz Berlina, zakazującej eksponowania ukraińskiej flagi – i, skoro ta wymiana ognia dokonuje się na poziomie „decorum”,

*Wymiana ognia w polskiej  
wojnie węgiersko-niemieckiej  
ma charakter umiarkowany,  
pozycyjny, widać, że  
zwaśnione strony nastawiły  
się na dłuższy konflikt*

ktos z  
przeciwległego  
okopu wspomni, że  
szef węgierskiej  
dyplomacji Péter  
Szijjártó nie odesłał  
jeszcze Putinowi  
Orderu Przyjaźni,  
nadesłanego przez  
Kreml jesienią 2021.

Gdy zapędzi się partia antyniemiecka i wystrzeli coś o „nowym pakcie Ribbentrop-Mołotow” – druga strona, również z grubej rury, napisze coś o węgierskich apetytach terytorialnych na Zakarpacie. I tak sobie prowadzimy ogień, w tej podmokłej dolince rzeki Lech. I choć wszystkim o Ukrainę chodzi, wiadomo, że rozpalają nas i inne namiętności: jedni gorąco nie znoszą „antyliberalnych rewolucji”, które ich zdaniem uosabia Orban, inni – niemieckiej dominacji w Unii.

Apel o zawieszenie broni nic by nie dał, choć w roku 955 biskup Ulryk, broniący Augsburga przed Madziarami, próbował podobno negocjacji. Pozostaje najpierw westchnąć nad małością Budapesztu i Berlina, a potem dokonać chłodnej kalkulacji, niczym Konrad I Rudy, księżę Lotaryngii, który w bitwie nad rzeką Lech dokonał decydującego uderzenia i zginął.

Owszem, kunktatorstwo Węgier jest fatalne dla oka i nieznośnie kontrastuje z postawą krajów ościennych, nierównie bardziej narażonych na wściekłość Kremla. I nieważne, czy stoi za nim lodowata kalkulacja (po co nam te kłopoty, po co nam ci uchodźcy?), obojętność,

znane interesy (gaz, elektrownia w Paks) czy nieznane uwikłania. Frazes o szabli i szklance został przerwany w pół zdania, podobnie jak sentymentalne marzenia o potężnym Trójmorzu i stalowym V4.

Warto jednak pomyśleć, zanim runiemy niczym frankońska jazda na głowy Hunów, jaka jest realna waga postaw filoputinowskich w wariacie węgierskim i niemieckim. Ile waży w jawnych głosowaniach i niejawnym przetargach stanowisko Budapesztu, ile zaś Berlina. Kto odbiera telefony od kanclerza Scholza, kto od premiera Orbana. I ile mogłyby realnie dać krwawiącej Ukrainie (gdyby chciały) Niemcy (PKB w 2021 – ok. 3 570 mld euro), ile zaś Węgry (ok. 154 mld euro). Bo, jak mawiał w kazaniach biskup Ulryk z Augsburga: komu wiele dano...

*Wojciech Stanisławski*

*Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”*